

25 sierpnia 2012 zmarł
Neil Armstrong,
astronauta.
20 lipca 1969
jako pierwszy człowiek,
w misji Apollo-11,
wylądował
i chodził po Księżycu.

Dotknawszy nogą Księżyc, wypowiedział słynne zdanie:
„That's one small step for [a] man, one giant leap for mankind.”
(To jest jeden mały krok dla człowieka, jeden gigantyczny skok dla ludzkości).

Mniej znane jest to, co wcześniej, w 1969 roku, powiedział Normanowi Mailerowi:
„I think we're going to the moon because it's in the nature of the human being to face challenges. It's by the nature of his *deep inner soul* ... We're required to do these things just as salmon swim upstream.”

(Sądzę, że lecimy na Księżyc, ponieważ w naturze człowieka leży sprostać wyzwaniom. To bierze się z natury jego głębokiego wewnętrznego ducha... Wymagane jest od nas robić te rzeczy, po prostu tak, jak od łososia płynąc w górę strumienia).

Roztrząsanie oczywistości

W połowie wakacji 2012 wszystkie media w Polsce poświęcały wiele miejsca – na antenach i na łamach – sprawie, najogólniej mówiąc, nepotyzmu w elitach władzy. Dziennikarze pytali polityków wszystkich opcji o to, gdzie mogą pracować dzieci polityków, żeby nie było konfliktu interesów, co mają zrobić te, które stanęły w obliczu konfliktu potencjalnego.

Nie zauważyłam wypowiedzi żadnego socjologa, psychologa społecznego, filozofa, w ogóle nikogo ze świata nauki, a może głosy takich ludzi nadałyby rozważaniom ogólniejszy charakter i pozwoliły sprowadzić rzecz do właściwego wymiaru. Myślę zresztą, że głos w tej sprawie astronoma czy specjalisty od silników spalinowych nie różniłby się od stanowiska humanisty.

Myślę, że każdy człowiek przeciętnie wrażliwy moralnie umie rozróżnić to, co nazywamy „tradycją rodzinną” i oceniamy pozytywnie, i nepotyzm, tj. wyzyskiwanie posiadanych wpływów dla zapewnienia korzyści (nie tylko materialnych) członkom własnej rodziny, bez względu na ich kwalifikacje, predyspozycje, dorobek.

Takie rozróżnienie nie wymaga odwoływania się do paragrafów, ale poczucia przyzwoitości i owej wspomnianej wrażliwości moralnej, jakiej człowiek nabywa w wychowaniu, przede wszystkim domowym. Dlatego tak zupełnie jałowe wydały mi się roztrząsania w mediach tej oczywistości i utyskiwania na to, jak trudno uregulować sprawy zatrudniania prominenckich małżonków, potomstwa, rodzeństwa, wszelkiego stopnia pociotków, jak nie-dobrze, że nie ma kodeksu obyczajowego, do którego można by zajrzeć w takich wątpliwych sytuacjach.

Trzeba dyskutować o wychowaniu, co, oczywiście, nie przyniesie rychłych owoców, ale w wielu środowiskach społecznych, a nawet węższych – zawodowych, istnieją rozmaite zapisy dobrych praktyk, karty etyczne, a na straży ich przestrzegania stoją rady, komisje i komitety. Przykre, że trzeba im wytykać opieszałość, a smutne, że upomnienie z ich strony nie zawstydzą.

Przewodnicząc takiemu ciału dla mediów przez kilkanaście lat, utwierdzałam się (od początku) w przekonaniu, że zbyt drobne „dzielenie etyki” – wedle rodzaju ludzkiej aktywności – ogranicza skuteczność jej strażników. Usuwa bowiem na dalszy plan najbardziej podstawowe i uniwersalne normy, pozwalając posługiwać się zestawem przepisów wykonawczych do dekalogu, nie sięgając samej ich podstawy. Inaczej mówiąc, przygłusza naszą wrażliwość moralną, po prostu rozleniwia w uważaniu na to, co wokół dobre, co złe. O tym zjawisku, z trochę innej perspektywy, pisała profesor Ewa Łętowska w „PAUzie Akademickiej” nr 170.

Szybciej i mocniej przemawiają do wyobraźni grzechy niż cnoty. To banał przypominany, kiedy narzekamy, że media nieustannie częstują odbiorców aferami, ka-

tastrofami i zbrodniami, a tylko czasem wiadomością o ludzkiej ofiarności (zwykle, żeby się pochwalić, że jest odzwaniem na apel danego medium), poświęceniu dla ratowania kogoś, zupełnie rzadko o rzetelnym wykonaniu jakiegoś pospolitego zadania.

Za alternatywę dla nepotyzmu można uznać wspomnianą wyżej tradycję rodzinną, przejawiającą się w dziedzinie zawodu, specjalności naukowej, obszaru zainteresowań, no i po prostu – w warunkach rozwijającego się u nas kapitalizmu – firmy. To ostatnie dopiero się zaczyna, po trwającej od 1939 do 1989 roku przerwie.

Wiem trochę o tradycji rodzin inteligentnych, jako że spotykam się z ich żyjącymi przedstawicielami od roku 1995 i krótkie relacje z tych spotkań publikuję w „Forum Akademickim”. Bardzo często powtarza się obawa przed pójsciem dokładnie śladem wcześniejszych pokoleń, bo może nie uda się sprostać wzorom. Dzieci wybitnych uczonych mówiły mi: nie sięgnę tak wysoko ustawionej poprzeczki, podkreślając jednocześnie zobowiązanie wynikające z rodzinnej tradycji. Ale zdarzało się też słyszeć: uniwersytet jest moją firmą – od potomka rektorów i dziekanów. Nie pamiętam zastrzeżeń czy tłumaczeń, że kontynuowanie tradycji nie ma nic wspólnego z nepotyzmem. W środowisku naukowym przypadki nepotyzmu pewnie się zdarzają, ale są szybko rozpoznawane i, jak myślę, wywołują wstyd u przyłapanych.

Kształowanie się dobrej rodzinnej tradycji było w naszej najnowszej historii zakłócone ideologicznymi podejrzeniami co do wszelkiej ciągłości sięgającej w przeszłość poza cezurę powojennych porządków, utożsamianiem jej z nepotyzmem właśnie dla łatwego oskarżania przez tych, którzy uprawiali nepotyzm (partyjny) bez hamulców, wychowaniem, które dezawuowało wszelkie więzi w społeczeństwie. Późne owoce działania tych czynników dają o sobie znać w pokoleniu, które minionej epoki nie pamięta, a dzisiaj ma duży wpływ na opinię publiczną.

W całym medialnym oddźwięku, z jakim spotkały się osławione taśmy, pokazał się duży obszar duchowego spustoszenia. Rzeczom oczywistym nadawano postać dylematów, nad których rozwiązaniem mieliby się głowić autorzy ustaw i twórcy kodeksów. Nie było wiadomo, skąd przywołać poczucie przyzwoitości.

Jeżeli zaprzętałam tym uwagę Czytelników „PAUzy”, to dlatego że – wedle wielu oznak – w środowisku akademickim jest owego poczucia więcej niż gdzie indziej, chociażby stąd, że jest potrzebne w procesie poznawania świata i stanowi niebagatelne kryterium przynależności do naukowej wspólnoty. Warto zastanowić się, jak ten walor próbować upowszechnić, wiedząc, że nie jest to możliwe bez udziału mediów, które prawdopodobnie nie są tu niechętne, ale nieświadome.

MAGDALENA BAJER